

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Cała prawda

Pani Alicja poprawiła kwiaty wazonie. Układała je już od blisko pół godziny, ale zależało jej, żeby kompozycja, którą właśnie tworzyła, wyglądała prawdziwie imponująco. Ułożenie kwiatów na stole, czystość tapicerki nowego samochodu czy odpowiednia fryzura były zresztą właściwie od kilku miesięcy jedynymi problemami, jakie zaprzętały jej głowę. W niepamięć odeszły dawne troski o niezapłacone rachunki czy brak pieniędzy na wakacje. Wszystko to stało się za sprawą narzeczonego, a teraz już męża jej jedynej córki Anny.

Pewnie to właśnie ów kilkumiesięczny brak niepokojów sprawił, że pani Alicja tak bardzo się zmartwiła, gdy podczas odwiedzin u córki zauważyła, że jest ona małowarna, zamknięta w sobie i czymś wyraźnie zatroskana. Choć Anna nie chciała wyjawiać powodów swoich zmartwień, jej matka nie zamierzała dać się spławić i szybko rozpoczęła własne dochodzenie. Przez głowę przeszło jej, że córka może mieć problemy małżeńskie, a chwilę po tym sparaliżowała ją myśl, że może się to odbić także na jej życiu. Nie namyślając się, postanowiła szybko coś z tym zrobić.

Kiedy więc następnego ranka Wojtek, jak co dzień, wyjechał do swojej kancelarii, pani Alicja, założywszy treneczki, ciemne okulary i chustkę na głowę, postanowiła śledzić córkę. Anna nie miała stałej pracy. Zajmowała się profesjonalnym robieniem reklamowych zdjęć i sesji. Przyjmowała zlecenia od wielu firm, a dużą część pracy wykonywała w domowym atelier. Pani Alicja ryzykowała więc, że może spędzić nawet cały dzień przyczajona w okolicy domu córki. Tak się jednak nie stało – Anna wyszła z mieszkania zaledwie kwadrans po tym, jak opuścił jej mąż. Teraz pani Alicja zyskała pewność, że coś się dzieje – jej córka nie wstałaby przecież tak wcześnie bez powodu!

Traktując swoje śledztwo bardzo poważnie, pani Alicja pojechała za córką najpierw do sklepu, potem do fryzjera, aż w końcu trafiła pod bramę wjazdową na chronione osiedle apartamentowców. Tutaj nie mogła już niezauważona szpiegować Anny. Gdy dziewczyna weszła do jednej z klatek, próbowała dojrzeć nazwisko na liście lokatorów. Niestety, znajdowały się tam tylko anonimowe numerki. Nie pomógł także listonosz. Pani Alicja długo zastanawiała się, czy któryś ze znajomych córki, których miała okazję poznać, nie mieszka gdzieś w okolicy, ale nikt nie przyszedł jej do głowy. Blisko dwie godziny siedziała p o d tym apartamentem, podejrzewając coraz bardziej, że jej dziecko zdradza męża, i ubolewając, że może ją tym pozbawić wszystkich luksusów, do których już zdążyła przywyknąć. Mimo że były to tylko mgliste przypuszczenia, zdążyła już w myślach po wielokroć zrugać Annę.

Kolejnego dnia pani Alicja planowała powtórzyć całą akcję. Tym razem zastanowiło ją jednak zachowanie jej zięcia. Mężczyzna wyszedł z domu o stałej porze, zanim jednak wszedł do samochodu, odbył długą i bardzo emocjonalną rozmowę przez telefon. Scenka, której pani Alicja była świadkiem, tak bardzo ją zaintrygowała, że postanowiła tego dnia dla odmiany obserwować męża córki. Choć pojechał prosto do firmy, to z rozkojarzenia nie zamknął samochodu. Pani Alicja, wczuwając się w rolę prawdziwego szpiega, przykucnęła, podbiegła do auta, wsunęła się na siedzenie pasażera i zaczęła przeglądać papierki, paragony i inne śmieci, jakie wylądowały na podłodze samochodu przez ostatnie tygodnie. Wśród nich znalazła karteczkę z wypożyczalni kostiumów, która na odwrocie miała odręcznie zapisany numer telefonu. To wystarczyło do uruchomienia maszyny wyobrażeń. Przed oczyma pani Alicji stanęły dzikie orgie i narkotykowe imprezy, w których jej zięć zapewne brał udział, przebrany dla niepoznaki. Kiedy zauważyła nadchodzącego Wojtkę, w pośpiechu uciekła, pozostając, jak jej się wydawało, niezauważona. Nie zdążyła już jednak dojechać do samochodu mężczyzny.

Dawszy się porwać swemu prywatnemu dochodzeniu, pani Alicji postanowiła jeszcze spróbować się dowiedzieć, kim jest osoba, którą odwiedzała jej córka. Wymagało to kolejnych dni, w trakcie których pani Alicja skupiała się na przemian na córce, to na zięciu. W końcu okazało się, że mieszkanie, które odwiedza Anna, nie należy do żadnego z jej znajomych. Nie należy również do kochanka, lecz jest to prywatny gabinet psychoterapii. Ta informacja całkowicie przybiła pani Alicję. Szybko jednak doszła do oczywistych, jej zdaniem, wniosków – nie dość, że jej córka prawdopodobnie nie zachowywała się lojalnie wobec swojego męża, wymykała się z domu i podejrzanie zachowywała, to na dodatek musiała mieć na sumieniu inne przewinienia, w dodatku takie, które doprowadziły ją do poważnej depresji i poczucia winy, nie pozwalających jej porozmawiać o problemach z własną matką, lecz zmuszających do poddania się w tajemnicy sesjom psychoterapeutycznym.

Zdruzgotana pani Alicja wróciła do domu. Ten i kolejny dzień upłynął jej w większości na rozmyślaniu o życiu córki, a także konsultowaniu możliwych przebiegów wydarzeń z wszystkimi koleżankami. Gdy pani Alicja obdzwoniła już każdego, kto tylko przyszedł jej do głowy, pomyślała, że chyba najwyższy czas, by szczerze porozmawiać z córką.

Pani Alicja miała swoje klucze do mieszkania Anny, z których bez skrępowań korzystała. Co prawda, dano jej je na wszelki wypadek, ale ona nie widziała nic zdrożnego w używaniu ich do niezapowiedzianych odwiedzin. Otworzywszy drzwi, zobaczyła Annę, która przestraszona nagłym wejściem matki do salonu piskliwie krzyknęła.

Chwilę później Anna zaczęła rzewnie płakać. I w tym potoku łez tłumaczyła matce, jak fatalnie się czuła przez ostatnie miesiące. Od przeprowadzki z mężem do miasta, z którego pochodziła, jej życie zaczęło przypominać koszmar sen. Matka wtrącała się absolutnie we wszystko – od wzoru na firankach po kolor jej bielizny. Nie pomogły pomysły męża – sfinansowanie kilku kursów, mających zająć pani Alicji wolny czas, nowy samochód czy pieniądze na zagraniczny wyjazd. Anna przyznała, że nie radzi sobie z nadgorliwością matki, która wtrąca się nie tylko w jej życie, ale i w życie jej męża. By mieć odwagę jej to wyznać, musiała podjąć terapię. Na tym właściwie zakończyła się rozmowa, bo pani Alicja poczuła się poważnie obrażona i opuściła dom córki, postanawiając się do niej więcej nie odzywać. W każdym razie co najmniej dwa dni.

Euro coraz bliżej

Już za rok czeka nas futbolowa feta na polskich i ukraińskich stadionach, do oficjalnego otwarcia EURO 2012 pozostało bowiem niecałe 400 dni. Można powiedzieć, że to i dużo, i mało – chodzi oczywiście o dopięcie wszystkich spraw organizacyjno-inwestycyjnych oraz stworzenie w miarę przyzwoitej reprezentacji narodowej.

Po ogłoszeniu decyzji o organizacji EURO 2012 przez Polskę i Ukrainę przedstawiciele naszej wspaniałej władzy oraz opozycji zapowiadali, że dla Polski jest to szansa na prawdziwy „skok cywilizacyjny”. Dziś śmiało można stwierdzić, że żadnego „skoku” się nie doczekamy. Moim zdaniem było to zresztą wiadome już nazajutrz po przyznaniu nam tej wielkiej imprezy. Nasi państwowi decydenci wpadli jednak w euforię i – jak to oni – zaczęli

obiecywać piękne rzeczy. Do spraw organizacyjnych włączyli się ponadto tak zwani politycy (tak zwani, bo sami o sobie tak mówią), którzy miast kierować się zdrowym rozsądkiem, postawili na partyjne i koleżeńskie ukła-

dy. Było to widoczne już podczas typowania miast, w których miały się odbyć rozgrywki – Warszawa, Gdańsk i Wrocław nie miały przecież odpowiednich stadionów. Jedynie w Poznaniu, ale jeszcze zanim przyznano nam EURO 2012, zaczęto stadion modernizować. Nie brano pod uwagę istniejącego już zaplecza i infrastruktury, odrzucając zarówno Kraków, jak i Chorzów jako potencjalnych organizatorów turniejowych spotkań. A doskonale przecież wiadomo, że Śląsk ma najlepiej rozwiazane połączenia drogowe. Poza tym niemieckiej granicy przez Katowice do Krakowa wiedzie autostrada. Co tu dużo mówić – w typowaniu miast górę wzięły „kolesiostwo” i partyjne układziki. Mam na myśli przede wszystkim przypadek Gdańska, ale także Wrocław. Warszawę pomijam, bo to stolica, a według zaleceń UEFA w stolicy muszą się bezsprzecznie odbyć mecze. Na budowę obiektów, na których miałyby się odbywać rozgrywki EURO 2012, przeznaczono ogromne środki finansowe, a wiadomo przecież, że kasa państwowa jest niemal pusta i brakuje funduszy na realizację wielu innych potrzebnych w kraju projektów. Dziś już wiadomo, że sporej części zapowiadanych inwestycji nie uda się zrealizować. Mam na myśli przede wszystkim wygodne i bezpieczne drogi.

Ze stadionami jakoś sobie mimo wszystko poradzono. W Poznaniu obiekt jest prawie gotowy. Pojawił się tam jednak problem związany z szybkim i bezpiecznym opróżnianiem widowni – chodzi o kwestię zbyt wąskich wyjść, która pojawiła się choćby po pucharowym meczu Lecha z Juventusem Turyn. Na tę sprawę uwagę zwrócili obserwatorzy z UEFA.

Poznańscy organizatorzy muszą sobie z tym jakoś poradzić.

Ustalono są już daty oficjalnych otwarć pozostałych trzech stadionów. 9 czerwca 2011 r. ma zostać otwarty PGE Arena Gdańsk (zostanie wówczas rozegrany mecz Polska – Francja), 30 czerwca 2011 r. ma się zaś zakończyć budowa części sportowej we Wrocławiu. W Warszawie natomiast przewiduje się oddanie stadionu do użytku 6 września 2011r., wtedy też ma być rozegrany mecz pomiędzy Polską a Niemcami. W stolicy sprzedawano już już loże dla nowobogackich.

Czy te terminy zostaną dochowane? Wszystko wskazuje na to, że tak. Rzecz jednak w tym, jakie będzie zaplecze, jakie będą drogi dojazdowe, liczba parkingów, itp. Pod tym względem nie należy oczekiwać jakichś rewelacji.

Będziemy więc mieć stadiony. Na trybunach z pewnością zasiądzie komplet widzów, bo apetyt na bilety ma prawie 12 milionów kibiców z całej Europy. O frekwencję na poszczególnych meczach nie należy się zatem niepokoić. Można się natomiast martwić o naszą reprezentację. Ostatnie spotkania kontrolne z Mołdawią, Litwą i Gruzją pokazały dobitnie, że nadal nie mamy w miarę przyzwoitej drużyny.

Zawołanie „Smuda czyni cuda” nie ma pokrycia w rzeczywistości. Dlatego dziwią słowa Franciszka Smudy, że ma już niemal gotowy podstawowy skład na EURO 2012. Na dziś można na upartego wymienić tylko Łukasza Piszczka i Jakuba Błaszczykowskiego jako niewątpliwych pewniaków. No, może jeszcze Roberta Lewandowskiego, bo to na tego napastnika konsekwentnie stawia trener reprezentacji. Jeśli jednak chodzi o pozostałe pozycje, to mamy same niewiadome. Weźmy choćby bramkę. Mówiło się o powrocie Artura Boruca, ale należy przypuszczać, że trener raczej z niego zrezygnuje. To przecież sam Boruc wykreślił się z listy w zeszycie trenera. I nie chodzi tu o wypicie jakiegoś alkoholu, ale o wypowiedź telewizyjną naszego bramkarza, który nazwał Franciszka Smudę „Dyzmą polskiego futbolu”. Jako kandydaci do reprezentacyjnej bramki pozostają więc Łukasz Fabiański, Wojciech Szczęsny, może jeszcze Sandomierski, Kuszczak i Tytoń. O napastnikach lepiej nawet nie wspominać. Zwyczajnie bowiem nie mamy na tej pozycji zawodników z prawdziwego zdarzenia, a Robert Lewandowski niewiele jeszcze potrafi. Mamy też słabą obronę. Na domiar złego Sebastian Boenisch jest po drugiej operacji kolana i nie wiadomo dokładnie, kiedy wróci do gry. Może humor Franciszka Smudy poprawi nieco przyznanie polskiego obywatelstwa Manuelowi Arboledzie. Być może powołanie do reprezentacji otrzyma Damien Perquis, Francuz polskiego pochodzenia.

W świetle tego wszystkiego należy się zgodzić ze słowami Huberta Kostki, bramkarza złotej drużyny olimpijskiej, który powiedział, że wciąż brakuje nam myśli przewodniej, i dodał, że drużyna, w której występował, jeszcze na rok przed olimpiadą w Monachium grała kolejne mecze niemal w takim samym składzie. Tymczasem Franciszek Smuda bez przerw eksperymentuje, a z tych prób na razie nic dobrego nie wynika. W czarnych barwach widzę występ naszej reprezentacji na EURO 2012.

HENRYK MARZEC